

20/2022 16-22.05.22 cena 9,90 zł
(w tym 8% VAT) Nr indeksu 36679X

www.newsweek.pl

D 5,60€ B 5,60€ L 5,60€



JANUSZ GAJOS

POŻEGNANIE ZE SCENĄ

WIELKI AKTOR MÓWI, **DLACZEGO JUŻ NIE GRA W TEATRZE,**
CZY BOJKOTOWAĆ ROSYJSKICH ARTYSTÓW I JAK CZOŁGAŁ SIĘ
PRZEZ OKOPY, ŻEBY UDOWODNIĆ, CO JEST WART

ROZMOWA Z JANUSZEM GAJOSEM

GRANIE MNA RZĄDZI

Rozwód z teatrem się nie udał
– **JANUSZ GAJOS** o potknięciach na scenie,
życiu w niepewności i przemówieniu Hitlera

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK ZDJĘCIA MACIEJ ZIENKIEWICZ

NEWSWEEK: Debiut reżyserski w wieku 82 lat? Po co panu ten stres?

JANUSZ GAJOS: To zajęcie nie było szalenie stresujące. Przez 60 lat wykonywałem ten zawód i wiem o nim prawie wszystko. Rok temu odszedłem z Teatru Narodowego i zacząłem się zastanawiać, co teraz będę robił. Owszem, miałem trochę zaległości: coś do zapisania, przeczytania, obejrzenia... Ale teatr to taki potwór, który nie chciał mnie tak po prostu wypuścić z objęć po latach wspólnego życia. Zaczął coś szeptać do ucha, mamić, kusić... Mówiąc krótko: rozwód z teatrem się nie udał.

Czego najbardziej się pan bał, biorąc się do reżyserowania „Ożenku” w Och-Teatrze?

– Żeby nie zostać dyktatorem, który zmusza aktorów do przejęcia jego wizji granej postaci. Przeżyłem już pracę z takimi reżyserami, dla aktora to koszmar. Uważam, że wykreowanie w sobie własnego wyobrażenia postaci to jeden z najwspanialszych momentów w tym zawodzie.

Pokazywał pan, jak mają zagrać?

– Strasznie się pilnowałem, żeby tego nie robić, bo wyszło-
by, że się popisuję. Ale parę razy się zdarzyło, przy czym nie

oczekiwałem, żeby powtarzali po mnie dokładnie. Byłem otwarty na propozycje.

Co to panu dało?

– Reżyserując, zrozumiałem, co czuje człowiek, który chce trzymać w karchach całe dzieło, jest odpowiedzialny nie tylko za swój fragment. To było nowe i miłe doświadczenie. Szukałem możliwości wykorzystania moich doświadczeń, ale tak, żeby nikogo nie urazić. Nie zawsze do końca się to udawało. Aktorzy pracują, wykorzystując swój system nerwowy. Czasem robi się nerwowo, ale nikt się specjalnie nie obraża.

Napaść Putina na Ukrainę wywołała temat bojkotu rosyjskiej kultury. Festiwal Wielkanocny odwołał wykonanie symfonii Szostakowicza, a Opera Narodowa „Borysa Godunowa” Musorgskiego. Miał pan chwilę wahania przy Gogolu?

– Zaczęliśmy próby kilka miesięcy wcześniej. Ale kiedy wybuchła wojna, trzeba było usiąść i porozmawiać, co robimy. Przecież Gogol to Ukraińiec nawet z polskimi korzeniami. Nie zgadzam się z zakazywaniem grania czy czytania wielkiej klasyki rosyjskiej. To są rzeczy genialne i ponadczasowe.



Żadnego bojkotu?

– Moim zdaniem wszystkim wykonawcom rosyjskim, którzy nie potępiają agresji Putina na Ukrainę, powinniśmy powiedzieć: na razie państwu dziękujemy. To nasz protest przeciwko tej strasznej wojnie. Ale skazywanie na niebyt całej kultury rosyjskiej byłoby błędem.

Dlaczego odszedł pan po 20 latach z Teatru Narodowego?

– W zeszłym roku, po przerwie covidowej, wróciłem na scenę. Podczas jednego ze spektakli wyleciało mi jedno słowo, drugie. Poczuję dyskomfort i niepokój. Nie wiem, czy to wina jakiegoś pocovidowego ogona, czy zmęczenia.

Publiczność to zauważyła?

– Nie. Te potknięcia daje się oczywiście zatuszować, ale częstotliwość takich zdarzeń jest denerwująca. To nie było przyjemne uczucie złapać się na tym i coś tam haftować. Pomyślałem, że to przestaje mieć sens. Zacząłem się obserwować. Musiałem uczciwie stwierdzić, że nie mam już takiej pewności i sprawności jak kiedyś. Nie chcę się za bardzo wynętrać na ten temat, ale pomyślałem: mam 81 lat i nie jestem już panem sytuacji. Jestem po prostu zmęczony.

Krystyna Janda mówiła mi kiedyś, że na scenie czuje się lepiej niż w swoim prywatnym życiu, ma tam większą kontrolę.

– Nie wiem, czy aż tak bym powiedział. Ale na scenie czułem się przez lata tak samo dobrze jak w domu. Zawsze zależało mi na tym, żeby to, co robię, było perfekcyjnie zagrane, tak jak sobie wyobraziłem na próbach. Złapałem się na tym, że ten mechanizm, jakim jest moje ciało, przestaje być posłuszny. Poszedłem do dyrektora i poinformowałem go o decyzji. Przyjął to do wiadomości.

Widział pan aktorów, którzy za długo czekali, żeby zejść ze sceny?

– Oczywiście.

Co pan czuł przez następne tygodnie?

– Zająłem się sprawami, na które wcześniej nie miałem czasu. Na jednej z premier w Teatrze Polonia spotkałem się z Krysią Jandą. Zapytała, czy nie miałbym ochoty wyreżyserować czegoś u niej. I tak wróciłem do teatru, czyli „Ożenku”.

Nie wierzę, że po 60 latach grania, o godzinie 19, kiedy zwykle pan wchodził na scenę, teraz spokojnie czytał pan sobie książkę. Żadnego żalu?

– Oczywiście, że była nutka żalu. To automatyzm. Ale nie zrywałem się o 18 w panice, żeby jechać do teatru. Nie doznałem żadnego wstrząsu. Przecież zrozumiałem, że obecność na scenie przez półtorej godziny dużo mnie kosztuje, że już muszę dać sobie z tym spokój. Mam jeszcze film, ale z nim też muszę być ostrożny.

Lubił pan jako aktor panować nad widownią?

– Oczywiście, każdy aktor to lubi, choć nigdy nie było to celem samym w sobie. Mnie zawsze bardziej interesowało to, co mam wykonać, a nie jaki to wywoła efekt na widowni. Kokietowanie publiczności było mi obce. Choć pamiętam, kiedy to się wydarzyło pierwszy raz. Byłem w liceum, kiedy polonista wyznaczył mnie do roli tytułowej w spektaklu „Pan Tadeusz”. Interesowały mnie raczej nauki ścisłe, ale nie miałem wyboru, jakiegol-

wiek protesty nie wchodziły w rachubę. Spektakl odbył się w teatrze w Będzinie. I wtedy jako bardzo młody człowiek, stojąc na scenie, poczułem, że można zainteresować publiczność tym, co się mówi. Później na ulicy widziałem jeszcze spojrzenia ludzi, którzy mnie rozpoznawali. Oczywiście bardzo mi to wtedy imponowało. I pomyślałem, że to dobry pomysł na zawód, a może i życie. Po maturze pojechałem do Łodzi do szkoły teatralnej i filmowej na egzamin wstępny na wydział aktorski. Tam powiedziano mi brutalnie: panu dziękujemy. Jednak fascynacja teatrem była już tak silna, że poszedłem do pracy do Teatru Dzieci Zagłębia w Będzinie, prowadzonego przez Jana Dormana.

Czuł się pan upokorzony, że zamiast**na studiach aktorskich wylądował pan jako pracownik techniczny w teatrze lalkowym?**

– Skąd. Miałem sporo satysfakcji z poznawania teatru od kulis, całego tego zaplecza technicznego, bez którego nie byłoby żadnego spektaklu. To, że siedziałem głęboko schowany, niewidoczny dla widowni, pociągając jakieś sznurki, całkowicie mi wystarczało. Po roku pojechałem na egzamin jeszcze raz do Łodzi i do Krakowa. I jeszcze raz usłyszałem – nie, dziękujemy. Nie było rady, upomniało się o mnie wojsko. I to na poważnie, na dwa lata.

Nie wybiło panu z głowy aktorstwa?

– Może i miałyby szansę, ale w dowodzie w rubryce zawód miałem napisane „aktor”, jakiś pułkownik to zauważył. Zacząłem prowadzić mały zespół kabaretowy. Zostałem zgłoszony przez dowódcę do konkursu recytatorskiego. Poszło tak dobrze, że wysłano mnie do Wrocławia na Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Przed pełną salą powiedziałem „Kwiaty polskie”. Z satysfakcją poczułem, że ludzie mnie słuchają. Dostałem brawa i główną nagrodę. Poza tym, nie ukrywam, połechtana moją młodzieńczą próżnością informacja w prasie, że służy w Żarach taki żołnierz, który pięknie mówi Tuwima. Podbudowany tym „sukcesem” znowu pojechałem na egzaminy do Łodzi.

W mundurze?

– Oczywiście, bo byłem jeszcze w wojsku. Wiedziałem, że nawet jak mi nie wyjdzie, to mogę wrócić do teatru Dormana. Ale tym razem szanowna komisja pokiwała głowami, zamruczała: dojrzał, zmężniał, wygląda lepiej... I przyjęła mnie, budząc moje olbrzymie zadziwienie i wielką radość.

”

ZROZUMIAŁEM,
ŻE OBECNOŚĆ NA SCENIE
ZA DUŻO MNIE KOSZTUJE,
MUSZĘ DAĆ SOBIE
Z TYM SPOKÓJ

JANUSZ GAJOS



W szkole teatralnej zorientowałem się, jaki wpływ na popularność aktora ma telewizja. Że może dać mu gigantyczną rozpoznawalność, ale też zasufladkować. Obserwowałem, co się dzieje ze Stanisławem Mikulskim, który wystąpił w „Stawce większej niż życie”. Kiedy więc dostałem propozycję zagrania w serialu „Czterej pancerni i pies”, nie podskoczyłem z radości. Byłem na czwartym roku i czułem, czym się to może skończyć. Jakieś czerwone światełko w głowie zamigotało, ale się zdecydowałem. A jak poszło, to już nie można było tego odkręcić.

Co było najtrudniejsze?

– Że przestałem być już Januszem Gajosem, aktorem. Stałem się serialową postacią, Jankiem Kosem.

Bez przesady, miało to swoje plusy.

– Owszem, dało gigantyczną popularność, ale nie taką, o jakiej marzyłem, zdając do szkoły. Widziałem, jak na tym czołgu oddalają się ode mnie wszystkie „Hamlety” i poważny repertuar. Musiałem o wiele dłużej i mozolniej czołgać się do świata teatru, na którym naprawdę mi zależało.

Na początku lat 70. przeprowadza się pan z Łodzi do Warszawy. Wielka gwiazda ląduje najpierw w Teatrze Komedia, a potem w Polskim.

Na dodatek prawie nie gra.

– Tak, z jednej strony masowa popularność, a z drugiej ostracyzm w środowisku aktorskim.

Właściwie dlaczego?

– Nie szanowało się człowieka, który jedną serialową rolą zdobywa taki rozgłos. W tym zawodzie nie o to chodzi. Zdawałem sobie z tego sprawę, ale nie mogłem się cofnąć. Na zmianę zawodu było już za późno. Musiałem w to brnąć. Ile razy słyszałem o sobie: może i zdolny, ale czy ktoś to może potwierdzić? Czy jestem coś w ogóle wart? To było życie w ciągłej niepewności.

Krystyna Janda wspominała,

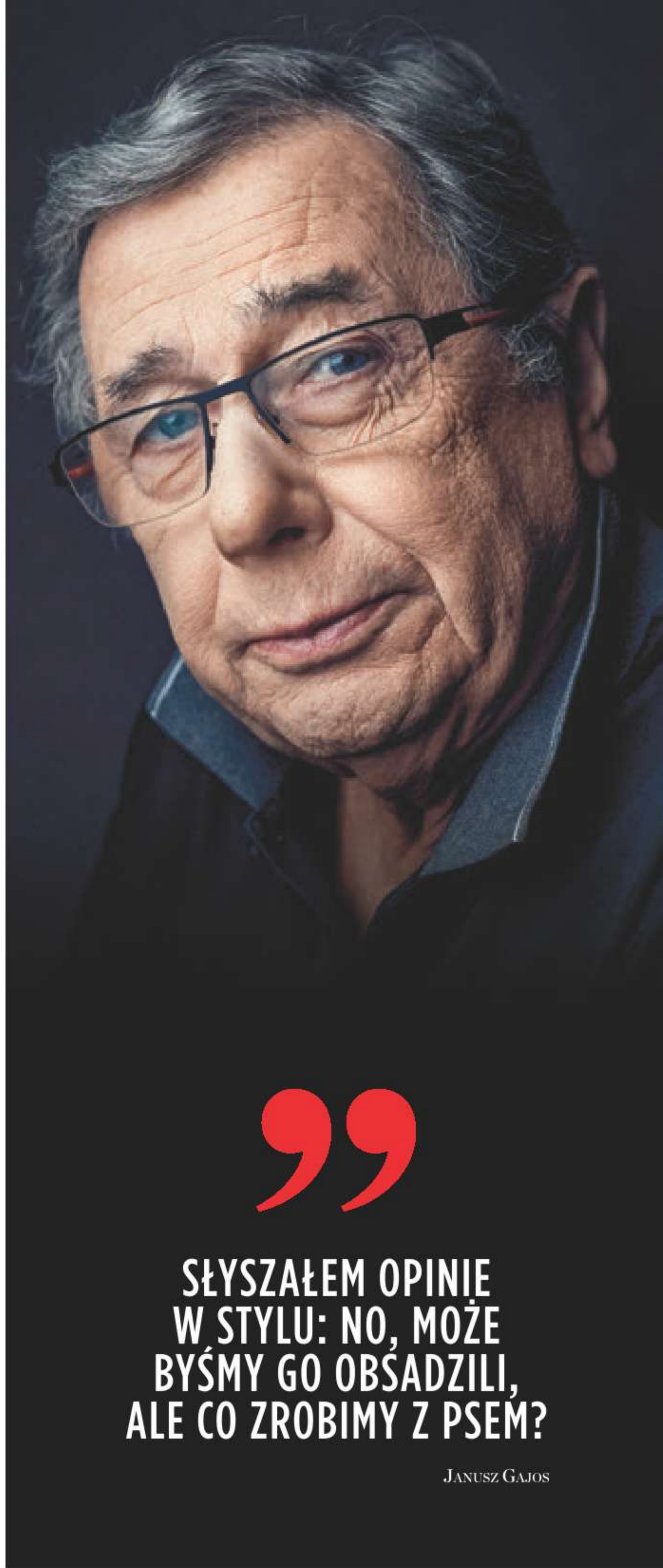
że przez lata czuło się u pana ślady niezdaných egzaminów i odrzucenia przez środowisko.

– Pewnie tak było, czułem się jak outsider, bo miałem na plecach tę łatę. Słyszałem opinie w stylu: no, może byśmy go obsadzili, ale co zrobimy z psem? Pierwszym dobrym znakiem był telefon od Dudka Dziewońskiego, który zaproponował mi dołączenie do zespołu Teatru Kwadrat w połowie lat 70. Krzysztof Kowalewski, Jan Kobuszewski... Wspaniali koledzy. Przez pięć lat grałem tam jakieś nie najmądrzejsze komedie, choć niektóre przyzwoite. Uczyłem się zawodu, jednak czułem, że pewnego poziomu nie przeskoczę.

”

**WIDZIAŁEM, JAK NA TYM
CZOŁGU ODDALAJĄ SIĘ
ODE MNIE WSZYSTKIE
„HAMLETY” I POWAŻNY
REPERTUAR**

JANUSZ GAJOS



”

**SŁYSZAŁEM OPINIĘ
W STYLU: NO, MOŻE
BYŚMY GO OBSADZILI,
ALE CO ZROBIMY Z PSEM?**

JANUSZ GAJOS

Mówi pan o niepewności, ale w 1980 r. zadzwonił do pana Gustaw Holoubek i zaprosił do najlepszego wówczas warszawskiego teatru – Dramatycznego.

– Bardzo się ucieszyłem, to był znak, że idę w dobrym kierunku. Wtedy był taki zwyczaj, że kiedy dyrektor zapraszał aktora do zespołu, dawał mu na wejście rolę w dobrej sztuce, żeby mógł zaprezentować swoje umiejętności. Miałem zagrać Probieczyka w „Jak wam się podoba” Williama Shakespeare’a. Holoubek oglądał próbę, a po niej poprosił mnie do gabinetu:

„Słuchaj, bardzo ładnie proponujesz tę rolę. Tylko wiesz co? Widać, że się bardzo starasz. Gdybyś mógł to zlikwidować, to będzie w sam raz. Widownia nie może widzieć, że zabiegasz o jej względy”. Dzisiaj opowiadam to ze śmiechem, ale proszę wierzyć, że wtedy jak tego słuchałem, nie było mi do śmiechu. Po latach uprawiania tego zawodu wiem, że to najwspanialsza uwaga, jaką aktor może dostać od życzliwej mu osoby. Byłem wreszcie w „poważnym” teatrze, z paką wspaniałych aktorów, jak Marek Kondrat, Marek Walczewski, Wojciech Pokora, i bardzo chciałem pokazać, że coś umiem. I Holoubek bezbłędnie od razu to zauważył.

Kiedy pan się uspokoił?

– W połowie lat 80. Kazio Kutz zaproponował mi rolę w „Opowieściach Hollywoodu”, historii o niemieckich pisarzach, którzy znaleźli się podczas II wojny światowej w Hollywood. Moja rola Ödöna von Horvátha dla wielu była objawieniem. Z każdej strony słyszałem cmoknięcia zachwytu i szacunku. Nawet Tadeusz Łomnicki powiedział, że pojawił się poważny aktor. Potem był „Samobójca” i „Kolacja na cztery ręce”. Wiązanką tych trzech przedstawień Teatru Telewizji Kutz udowodnił wielu ludziom, że jestem prawdziwym aktorem. Poczuliśmy się wtedy naprawdę dobrze. Byłem mu bardzo wdzięczny, że dał mi szansę i uwierzył we mnie.

Wielu kolegów mówi o panu, że kiedyś był pan osobny, prawie samotnik...

– No nie wiem, nie uciekałem przed bankietami, ale nie byłem też królem towarzystwa. Bez wątplenia fakt, że kilkanaście lat czołgałem się przez rowy i okopy, żeby udowodnić, co jestem wart, sprawił, że trochę zamknąłem się na świat, straciłem do niego zaufanie. Stałem się bardzo ostrożny.

Od 1965 tylko rok przetrwał pan bez etatu w teatrze.

Nawet jak był pan już wielką gwiazdą, zatrudnił się pan w Narodowym. Nie jest pan typem wolnego strzelca?

– Nie powiem panu, dlaczego tak jest, ale tak się przyzwyczaiłem. Dla mnie teatr to nie tylko spektakl i scena, to skupisko ludzi, miejsce, cała sfera obyczajów, którą rozumiem i dobrze się w niej czuję. Dla mnie zespół teatralny ma w sobie coś z rodziny. Przez lata przychodziłem do teatru jak do drugiego domu.

Jeden z pana kolegów mówi, że potrafi pan perfekcyjnie oddzielić życie rodzinne od teatralnego. To jest tajemnica sukcesu w tym zawodzie?

– Nie wykluczam. Muszę się pochwalić swoją żoną Elżbietą. Poznaliśmy się w Krakowie. Byliśmy już ludźmi dojrzałymi, każde ze swoim bagażem doświadczeń. Po pół roku znajomości postanowiliśmy być razem. Kolega z teatru skomentował to jako zwycięstwo nadziei nad doświadczeniem. Nadzieja wygrała, jesteśmy już razem 35 lat. Spotkanie z Elżbietą uważam za jedno z najważniejszych wydarzeń mego życia prywatnego i zawodowego. Mamy wspaniałą grupę przyjaciół, większość z nich nie ma nic wspólnego z teatrem. Potrafimy się odizolować od ludzi z branży artystycznej, teatralnej i uważam, że to niezły sposób na uzdrowienie mojego stosunku do życia i zawodu. To żona namówiła mnie na podróżowanie, zwiedziliśmy kawał świata, co też pozwala nabrać dystansu do pracy.

24 lutego wybuchła wojna w Ukrainie. Pan też jest dzieckiem wojny, urodził się pan we wrześniu 1939 r.

Wracają jakieś wspomnienia?

– Jako dziecko nie znałem innego świata niż wojna. Pamiętam migawki. Idę z mamą chodnikiem, a z głośnika, ulicznej szczekaczki, słyszę jakiś natarczywy głos. Mama oznajmia: to mówi Hitler, taki straszny człowiek. Ale dlaczego straszny? Tego wówczas nie wiedziałem, za to mogę powiedzieć, że słuchałem przemówienia Hitlera. Pamiętam też, jak pod koniec wojny siedzieliśmy w jakiejś piwnicy z obcymi ludźmi. Nagle w drzwiach pojawili się niemieccy żołnierze. Patrzyli po kobietach: wskazywali na mamę i zażądali, żeby wyszła z nimi, miała zostać ich kucharką. Powstało jakieś zamieszanie, obcy ludzie stanęli w jej obronie, podnieśli lament, że ma małe dziecko. Strasznie się bałem, że zaraz zabiorą mi mamę. I proszę sobie wyobrazić, że Niemcy to zrozumieli i nie zabrali jej.

Powtórzyłby pan dzisiaj to, co dwa lata temu mówił

o Kaczyńskim, że to mały człowiek, który podzielił Polskę?

– To, co mnie uwierało, powiedziałem za ostro. Może powinienem to zrobić bardziej dyplomatycznie. Ale wciąż jestem tego samego zdania, że wystarczył jeden człowiek, a społeczeństwo zostało podzielone już nieodwracalnie. Na dodatek woj-

na w Ukrainie całkowicie obnażyła miałość naszej polityki i przywódców.

Ma pan kolejne filmowe propozycje. Co jest dla pana jeszcze motywacją do grania?

– Zdaję sobie sprawę, ile mam lat, i właściwie gdybym spojrzął, ile się w życiu nagrałem, powinienem dojść do wniosku, że należy mi się wygodny leżak i odpoczynek.

Kiedyś aktor Wacław Kowalski powiedział

o panu „wół roboczy”.

– Może chodzi o to, że to granie mną rządzi, a nie ja nim.

Boi się pan śmierci?

– Raczej starości i ułomności. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

JANUSZ GAJOS (ROZNIK 1939) JEST JEDNYM Z NAJWYBITNIEJSZYCH POLSKICH AKTORÓW. GRAŁ M.IN. W TEATRZE POWSZECHNYM I TEATRZE NARODOWYM W WARSZAWIE ORAZ W TEATRZE TELEWIZJI. WYSTĘPOWAŁ W FILMACH M.IN. ANDRZEJA WAJDY, KRZYSZTOFA KIEŚŁOWSKIEGO, WOJCIECHA MARCZEWSKIEGO, WOJCIECHA SMARZOWSKIEGO. SZEŚCIOKROTNY LAUREAT PRESTIŻOWEJ FILMOWEJ NAGRODY ORŁY. W OCH-TEATRZE W WARSZAWIE ZADEBIUTOWAŁ JAKO REŻYSER „OŻENKIEM” MIKOŁAJA GOGOLA